płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—31 · III · 1985 | 6

Fot. J. Łopuszyński

UWAGA! Już w następnym numerze „Płomyczka" rozpoczynamy druk pasjonującej powieści Adama Bahdaja „Tańczący słoń"

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

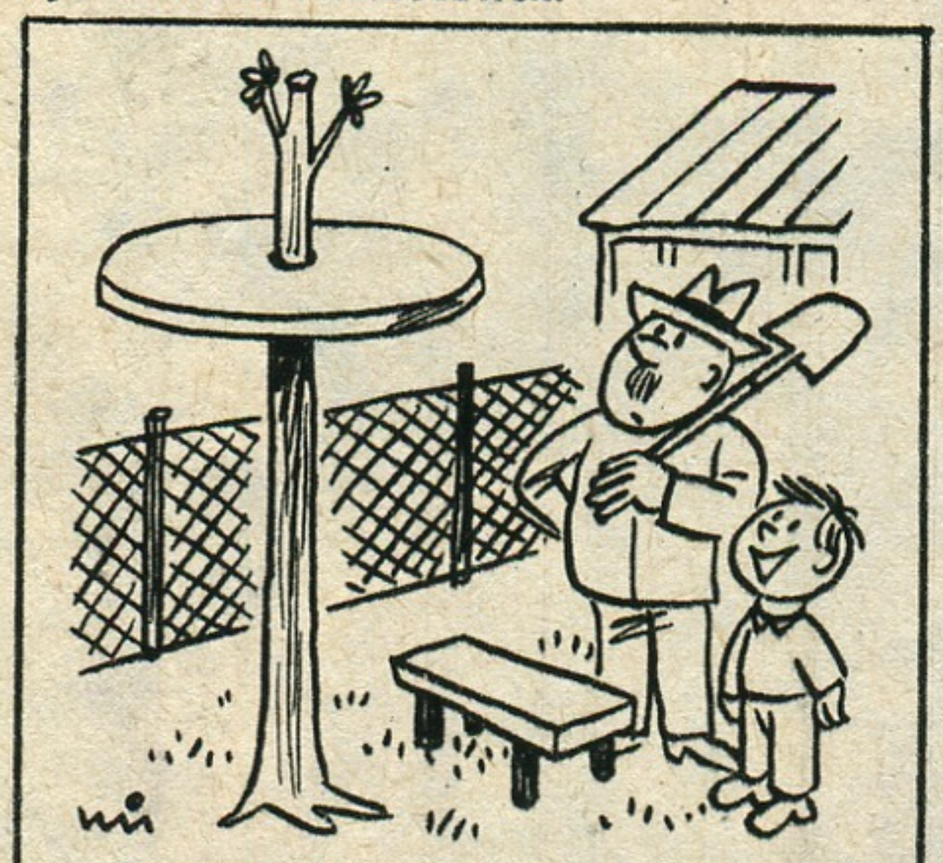

— Popatrz, tato, jak nasz stół przez zimę urósł.

— Myślisz, że to kret?

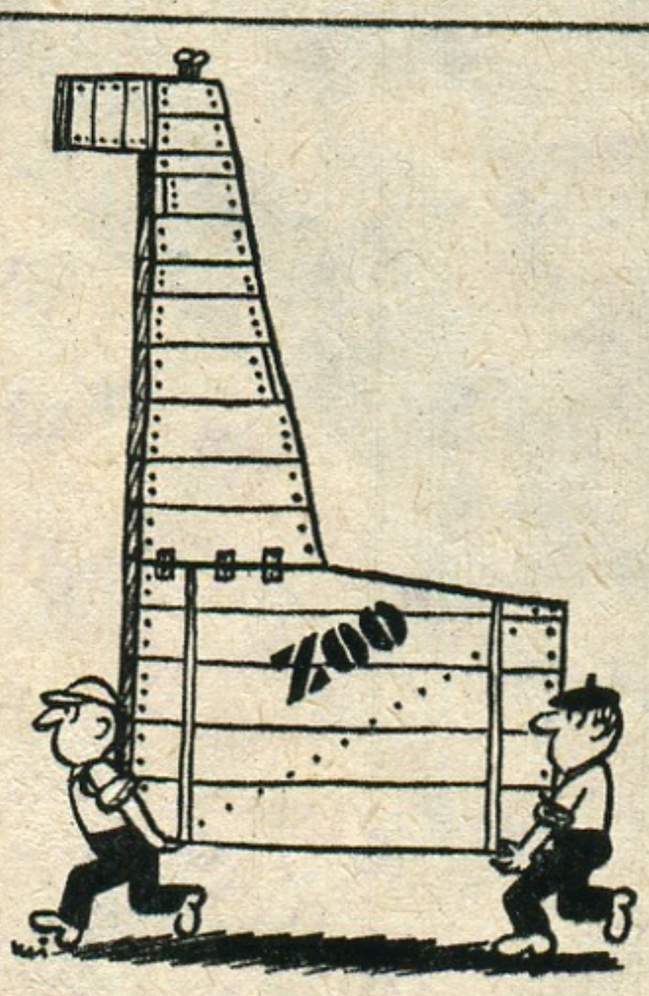

● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ●

W dniach 28-31 marca 1985 roku obraduje w Warszawie VIII Zjazd ZHP

Z tej okazji życzymy naszemu harcerstwu

- *jak najwięcej pomysłowych druhów drużynowych*
- *i takich ciekawych zbiórek, które będą zuchom i harcerzom śnić się po nocach*

CZERWONA KSIĘGA jest wydawnictwem Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody. Informuje ona o ginących i zagrożonych gatunkach zwierząt i roślin. Składa się z kart żółtych, czerwonych i zielonych. Na czerwonych są informacje o ginących gatunkach, na stronach żółtych — informacje o gatunkach, których liczba zmniejsza się zastraszająco, na zielonych stronach drukuje się wiadomości o zwierzętach i roślinach niedawno zagrożonych.

●

W JAPONII produkuje się mleko w proszku, które po dodaniu do wody barwi się na kolor czerwony, zielony, pomarańczowy lub żółty. Barwniki koloryzujące mleko otrzymuje się z jarzyn, owoców, miodu i jajek.

WŚRÓD KRAJÓW pozbawionych dostępu do morza największą „potęgą morską" jest Szwajcaria, posiadająca 24 statki. Drugą pod względem wielkości flotę ma Czechosłowacja — 14 statków, trzecią Węgry — 13 statków. Czwarte miejsce zajmuje Austria, która ma 11 statków.

●

W SZWECJI zbudowano miasteczko przyszłości, w którym zanieczyszczenie środowiska ograniczone będzie do minimum. Otrzymało ono nazwę Nya Esle i zamieszkało w nim początkowo 1000 osób.

Główne ulice i całe centrum nakryto dachem, a dachy ruchome otrzymają inne ulice. Domy ogrzewane są za pomocą energii słonecznej i wiatru.

Nasza okładka:

Wśród uczniów są 2 miliony zuchów i harcerzy

PRZYJŚCIE WIOSNY

Naplotkowała sosna,
że już się zbliża wiosna.
Kret skrzywił się ponuro:
— Przyjedzie pewno furą...
Jeż się najeżył srodze:
— Raczej na hulajnodze.
Wąż syknął: — Ja nie wierzę,
przyjedzie na rowerze.

Kos gwizdnął: — Wiem coś o tym,
przyleci samolotem.
— Skąd znowu — rzekła sroka —
ja z niej nie spuszczam oka
i w zeszłym roku w maju
widziałam ją w tramwaju.
— Nieprawda! Wiosna zwykle
przyjeżdża motocyklem!
— A ja wam tu dowiodę,
że właśnie samochodem.
— Nieprawda, bo w karecie!
— W karecie? Cóż pan plecie?
Oświadczyć mogę krótko,
że płynie własną łódką!

A wiosna przyszła pieszo.
Już kwiaty za nią śpieszą,
już trawy przed nią rosną
i szumią: — Witaj, wiosno!

Jan Brzechwa

Rys. Jerzy Flisak

CHŁOPIEC I BŁĘKITNE GÓRY

Chłopiec nie miał nawet dziesięciu lat, odmówiono mu więc strzelby. W grupie myśliwych znaleźli się również i tacy, którzy skłonni byli zaspokoić prośbę małego — niech się dziecko pobawi nie naładowaną bronią. Ojciec sprzeciwił się jednak stanowczo. Mały spróbował trochę pobeczeć, szybko się jednak uspokoił, ponieważ nikt nie zwracał na niego uwagi.

Myśliwi wybrali na miejsce odpoczynku polanę. Ledwo zrzucili z ramion plecaki, poczuli, jak bardzo są zmęczeni, i z przyjemnością wyciągnęli się na świeżej, wiosennej trawie. Nawet jeść im się nie chciało, chociaż od rana nic nie mieli w ustach. Gdy tak leżeli na ziemi z zamkniętymi oczyma, pogrążeni w błogim odpoczynku, nawet przykrość z powodu nieudanego polowania wydawała się znacznie mniejsza.

Chłopiec jednak nie mógł uleżeć spokojnie obok dorosłych. Nudziło mu się. Przez chwilę interesowały go chrząszczyki, potem gonił barwnego motyla, aż wreszcie miał dosyć jego zygzakowatego lotu. Dłuższy czas przyglądał się ptakom, które szybowały wysoko pod jasnym niebem. Zdawało mu się, że słyszy miękki łopot ich skrzydeł i śpiew wiatru goniącego białe chmury. Chciał przeniknąć w głąb niewidzialnego, tajemniczego życia gór, pociągała go ciemna zieleń starego lasu, urzekał pieniący się potok, który z szumem niósł błękitnawe wody z odległych, nieznanych szczytów w dół, ku równinie osłoniętej złocistym woalem płonącego słońca.

Skoro dorośli nie dali chłopcu strzelby, postanowił sam ją sobie zmajstrować. Wziął gładki, dobrze ostrugany kij należący do jednego z uczestnikow polowania, znalazł w kieszeni kawałek sznurka i użył go zamiast rzemienia. Tak uzbrojony, ruszył odważnie do lasu, który go nęcił, a jednocześnie przerażał swym milczeniem.

— Nie odchodź daleko, wpadniesz na niedźwiedzia! — zawołał za nim jeden z myśliwych.

Chłopiec roześmiał się, ubawiony tym żartem, powiedział, że będzie się bawił w pobliżu, nad strumieniem. (...)

Ruszył w górę potoku. Strzelba sterczała parę centymetrów nad jego głową. Potok toczył się wartko między gęstymi zaroślami, za nimi zaś ciągnął się stary, bukowy las. Dzień był słoneczny i ciepły, ale w mrocznym, ciasnym wąwozie chłopcu zrobiło się nagle zimno. Zatrzymał się i rozejrzał dokoła nieufnym wzrokiem. Drzewa w lesie wymachiwały przyjaźnie gałęziami, zdawały się pozdrawiać potok i małego wędrowca. Nie było powodu do obaw. Pomyślał o strzelbie na ramieniu, uśmiechnął się, by dodać sobie odwagi, i cichutko pogwizdując ruszył dalej w górę. Stracił już jednak coś z dawnej pewności siebie. (...)

Widok żaby z pulsującym gardłem przeraził chłopca. Żaba siedziała na dużym liściu w kształcie serca i patrzyła na dziecko nieruchomymi oczyma. Zawołał coś, ale żaba go nie słuchała, spoglądała prosto przed siebie. Uderzył strzelbą o ziemię tuż obok, żaba wyprostowała nóżki i zniknęła w wodzie. (...)

Zrobił jeszcze parę kroków i wspiął się na niewysoką skałę, po której spływała woda podobna do szklanej wstęgi. Zobaczył przed sobą obszerną polanę, równą, bez kamieni. Środkiem

spokojnie płynął strumień, tworząc tylko niewielki wir. W przetkanej złotym blaskiem głębi migotały niewyraźne cienie. Chłopiec długo wpatrywał się w wodę, niczego jednak nie mógł tam wypatrzeć. Plasnął ręką, złoty blask zakołysał się, zalśnił, chmurka, która się przeglądała w wirze, zniknęła.

Chłopiec pragnął koniecznie spróbować błękitnawej wody z potoku, chociaż wbijano mu do głowy, że wolno mu pić tylko wodę z dzbanka, który stoi w domu. Pomyślał o ojcu, ale przecież tutaj nikt nie mógł go zobaczyć. Zaczerpnął najpierw dłonią; woda była przezroczysta i zimna. Ukląkł, kolana zatonęły w wilgotnej trawie. Po pierwszym łyku zamroczyło go, uniósł głowę, zamrugał powiekami, pochylił się i zaczął pić odważnie. Kiedy podniósł się z ziemi, krople wody na jego nosku i bródce zaiskrzyły się diamentowym blaskiem w promieniach słońca.

Wreszcie, choć miał strzelbę na ramieniu, chłopiec postanowił wracać. Zabrakło mu odwagi do dalszej wędrówki. Ale w chwili, gdy miał już zawrócić, zobaczył rzecz nieprawdopodobną: w górnym rogu polany, na przeciwległym brzegu, stał olbrzymi,

brązowy niedźwiedź. Ogarnięty przerażeniem chłopiec stracił głowę, usiłował wołać, zrozumiał już bowiem, że to nie jest niedźwiedź z ogrodu zoologicznego. Zupełnie nie był podobny do tamtych łagodnych i śmiesznych istot, które uśmiechały się do ludzi i nie odrywały od nich spojrzenia proszących oczu. Na polanie stało olbrzymie kudłate zwierzę i spoglądało na chłopca wzrokiem badawczym i surowym. Mały nie potrafił wydobyć głosu. Chciał uciekać, ale nie mógł ruszyć się z miejsca, nogi miał jak wrośnięte w ziemię.

Spojrzenie niedźwiedzia obezwładniało chłopca, nie czuł łez spływających po policzkach. Ze stanu odrętwienia wyrwał go nagle widok małego, również brązowego niedźwiadka, który przecisnął się między łapami zwierzęcia. Niedźwiadek zatrzymał się koło mordy matki. Teraz chłopiec zobaczył zupełnie wyraźnie utkwione w siebie małe oczka, lśniące jak oliwki.

Straszliwa sprężyna, która trzymała go w swym uścisku, trochę się rozluźniła. Niedźwiadek także nie odrywał spojrzenia swych lśniących oczu od tej obcej istoty, którą widział po raz pierwszy w życiu. Nie odczuwał żadnej obawy, ponieważ matka znajdowała się tuż obok, postanowił więc zbadać, co to może być. Liznął matkę po pysku i niezgrabnie ruszył przed siebie.

Niedźwiedzica ryknęła, wysunęła wielką łapę i nie odrywając spojrzenia od chłopca, pchnęła niedźwiadka do tyłu. Malec przewrócił się, zaskomlał, po chwili stanął na czterech łapkach i znów ruszył do przodu. Powtórzyła się poprzednia scena, wreszcie matka straciła cierpliwość. Z głuchym pomrukiem jedną łapą chwyciła niedźwiadka, pchnęła go do tyłu i uderzyła ze złością. Niedźwiadek zaskomlał i zniknął w lesie. Niedźwiedzica tkwiła nieruchomo na miejscu, wpatrzona w istotę ludzką, która stała naprzeciwko. Lewe ucho miała poszarpane, kawałki skóry zwisały nieruchomo. Strach znów owładnął chłopcem. Rozejrzał się trwożnie dokoła. Kij, który nosił na ramieniu zamiast strzelby, mógł stanowić teraz tylko przeszkodę. Wykonał ruch, zamierzając go zdjąć. Zamarł znów na miejscu przerażony, ponieważ niedźwiedzica nagle stanęła na dwóch łapach, wydała chrapliwy ryk i ruszyła naprzód. Zwierzę patrzało na sterczący nad głową chłopca kij, chwiejący się groźnie. Gdy chłopiec znieruchomiał, również i niedźwiedzica się uspokoiła. Potem ze spojrzeniem wbitym w chłopca zaczęła cofać się, aż wreszcie dotarła do lasu. Odwróciła się i zniknęła w gęstwinie.

Nogi małego oderwały się od ziemi, odrzucił kij, pognał w dół z biegiem strumienia. Powietrze wtargnęło do jego piersi, krzyknął przenikliwym głosem. Skakał po kamieniach, krzaki i krzewy jeżyn kłuły jego gołe nogi, nie czuł jednak bólu. Bryzgi wody spływały z policzków. Ślizgał się i wpadał do strumienia, ale szybko się podnosił

i biegł dalej cichym łożyskiem potoku, nad którym chwiały się gałęzie milczącego lasu.

Gdy wreszcie zobaczył polanę i myśliwych, wydało mu się, że biegł nieskończenie długo. Wypadł z lasu podrapany, mokry, bez tchu, zatoczył się, omal nie runął na trawę.

Myśliwi zerwali się z ziemi, ojciec podbiegł do dziecka, wziął je w ramiona.

— Co ci się stało?

— Niedźwiedzie — z trudem wymówił chłopiec.

Na polanie zapanowała cisza, potem myśliwi popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się. Od tylu lat wędrują po tych górach i żaden z nich nigdy dotychczas nie spotkał niedźwiedzia.

— Niedźwiedzie? — zapytał jeden z myśliwych. — Niedźwiedzie! Cha-cha-cha! — zachichotał i wkrótce cała polana rozbrzmiewała wesołym śmiechem. — Powiadasz: niedźwiedzie, a nie niedźwiedź! Dużo niedźwiedzi!

Myśliwi uspokoili się i znów wyciągnęli się na trawie. Ojciec umył twarz syna, zdjął z niego mokrą koszulę, powiesił na krzaku, żeby wyschła.

Diko Fuczedżijew
Przełożyła Jadwiga Nurkiewicz
Rys. Jan Skrzypek

Rysunki wykonały: Ola Dziewałtowska i Kasia Bala z Młodzieżowego Domu Kultury „Muranów" w Warszawie

PIOSENKA MAŁEGO KWIATKA

Droga Mamo! Drogi Tato!
Jestem jeszcze małym kwiatkiem,
chcę się bawić cały dzień
i wciąż śpiewać, cieszyć się

i długo, długo, spokojnie żyć.
Więc na świecie musi pokój być!

Wielcy Ludzie! Dobrzy Ludzie!
To ja, kwiatek, do Was mówię:
— Wszystkie kwiaty z łąk i pól
chcą bezpiecznie cicho rość.

Więc Wy zaraz z całych sił
sprawcie, by na świecie pokój był!

Andrej Germanow
Opracował Tadeusz Chudy

ŚCIEŻKI

Ścieżynka pewna
powoli sobie biegła,
póki na swej drodze
drugiej nie spostrzegła.

— Przesuń się, bym przeszła! —
powiedziała pierwsza ścieżka.

A druga odrzekła:
— Nie przesunę się,
boś ty jest ścieżynka
cienka jak ta trzcinka!
Lepiej chodźmy razem,
jak to robią wszystkie ścieżki mądre,
a zrobimy jedną szeroką drogę!

. . . . . .

Leda Milewa
Przełożyła Wanda Medyńska

• KONKURS RYSUNKOWY •

CHCEMY POKOJU

Niczego nie podpowiadamy, rzucamy tylko zrozumiałe dla każdego z nas hasło: „C h c e m y P o k o j u”.
— Najładniejsze, najciekawsze rysunki opublikujemy w „Płomyczku” — to jedna nagroda.
— Najładniejsze z najładniejszych poślemy wszędzie tam, gdzie będą zbierać się ludzie broniący pokoju — to druga — nie tylko nagroda, ale nasza wspólna ważna sprawa.
Rysunki, wyraźnie podpisane imieniem i nazwiskiem, wraz z dokładnym adresem i podaniem klasy, przysyłajcie — do końca maja — pod adresem „Płomyczka”, 00-389 Warszawa, skr. poczt. 380, z dopiskiem na kopercie: „Chcemy Pokoju”.

• KONKURS RYSUNKOWY •

CHCEMY POKOJU

POLACY ŚWIATU

Pierwsza dama światowego teatru

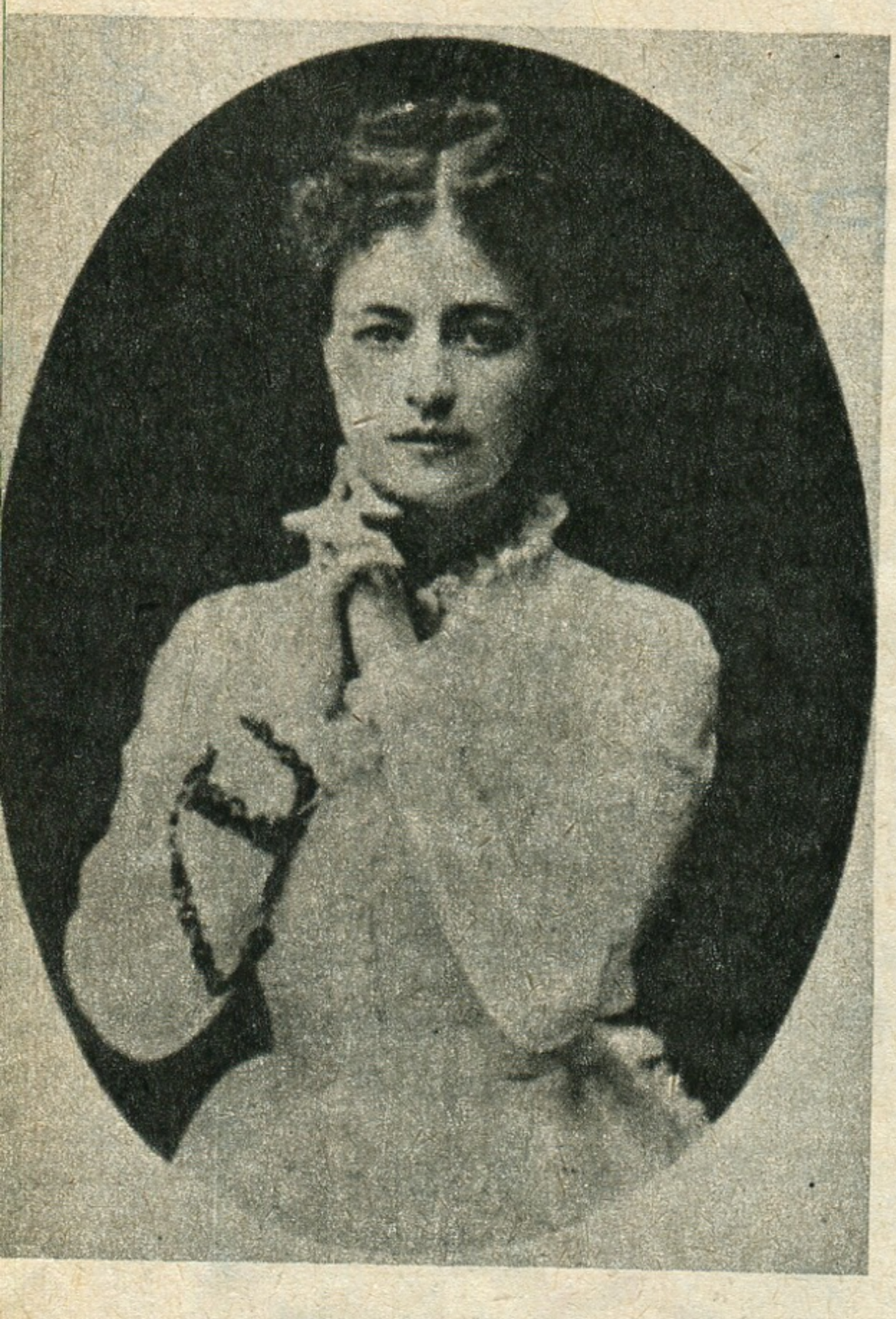

Polska była i jest krajem, który miewał i ma znakomitych aktorów teatralnych. Niewielu z nich miało jednak okazję zabłysnąć na scenach zagranicznych. Trudną bowiem do pokonania przeszkodę stanowi bariera językowa. Podstawowym warunkiem pamięciowego opanowania tekstu i bezbłędnego zagrania roli jest znakomita znajomość języka, jakim się artysta na scenie posługuje. Na dobrą sprawę powinno się nim władać lepiej od widzów (a przecież jest to ich język ojczysty!), odróżniać bezbłędnie wszelkie odcienie znaczeniowe. W tych warunkach poprawne zagranie roli już jest sukcesem, a cóż dopiero mówić o podbiciu i oczarowaniu publiczności talentem i kunsztem aktorskim!

Toteż właściwie jedna tylko gwiazda z Polski świeci pełnym blaskiem na firmamencie światowej historii teatru. Jest nią Helena Modrzejewska — niewątpliwie pierwsza dama sceny na obu półkulach w drugiej połowie ubiegłego wieku.

Modrzejewska urodziła się 12 października 1840 roku w Krakowie, w ubogiej rodzinie. Debiutowała w przedstawieniu amatorskim w Bochni w roku 1861. Początki jej kariery nie były łatwe — występowała w prowincjonalnych teatrach objazdowych. Dopiero po latach — dzięki wielkiemu talentowi, nadzwyczajnej urodzie i ciężkiej pracy — wybiła się na pierwszą aktorkę Warszawy. Nie zadowoliła się sukcesami krajowymi — w 1876 roku wyruszyła za ocean, na podbój scen amerykańskich.

Nie była to sprawa łatwa. Proponowano Modrzejewskiej, by na początek grała po polsku. Nie zgodziła się na to — chciała zagrać w sztukach Szekspira w wersji oryginalnej. Wraz z synem, Rudolfem, przystąpiła do nauki języka. Sama aktorka tak o tym pisze: „...zaczęliśmy się uczyć angielskiego z energią graniczącą z maniactwem. Ani godzina czasu nie była stracona, wyzyskiwaliśmy każdą minutkę". Pełni zapału uczniowie przyswajali sobie po sto nowych słów angielskich dziennie.

Niezwykle starannie przygotowywała się Modrzejewska do swojego amerykańskiego debiutu. Zmieniła nawet nazwisko, nadając mu bliższą dla miejscowej publiczności formę: Modjeska (po angielsku brzmi to: Modżeska). Wreszcie nadszedł dzień 20 sierpnia 1877 roku. Wystąpiła wówczas po raz pierwszy w Teatrze Kalifornijskim w San Francisco.

Dysponujemy reportażem z tego wydarzenia, który wyszedł spod pióra nie byle jakiego naocznego świadka. Autorem jego jest sam Henryk Sienkiewicz, zresztą zapalony wielbiciel Heleny Modrzejewskiej i jako wielkiej aktorki, i jako czarującej kobiety. Napisał on między innymi:

„Niesłychanym wypadkiem w Ameryce nikt po skończeniu nie opuścił swego miejsca. Wywoływano, przeciw zwyczajowi, je-

denaście razy artystkę. Gdy się ukazywała, mężczyźni wstawali i odkrywali głowy. Mówiono mi potem, że w czasie tej burzy przechodnie na ulicy stawali i pytali, co się stało? Słowem, piszę wam wprost i otwarcie, że podobnego sukcesu nie tylko nigdy nie widziałem, ale i nie czytałem o takim nigdy. Było to po prostu wzięcie szturmem Ameryki".

Był to tylko początek nie kończącego się pasma wielkich ról i sukcesów Modrzejewskiej na scenach całych Stanów Zjednoczonych. Już w grudniu tego roku artystka wystąpiła w najważniejszym z nowojorskich teatrów przy Piątej Alei. Była tak zdenerwowana, że w pewnym momencie weszła na scenę trzymając w ręku łyżkę do butów, zamiast wachlarza. Nie przeszkodziło jej to jednak podbić zarówno publiczności, jak i krytyków teatralnych, którzy bez wyjątku opublikowali pochlebne recenzje.

Modrzejewska odbyła dwadzieścia pięć wielkich podróży artystycznych po Ameryce, w każdej z nich dając ponad dwieście przedstawień. Występowała też w Europie — wielkie triumfy święciła w latach 1880—1882 w Londynie, a także w innych miastach Anglii oraz Szkocji i Irlandii. Po polsku grała podczas gościnnych występów na scenach Warszawy, Lwowa, Krakowa, Poznania i Pragi czeskiej. Swą urodą, znakomitą grą i czarem głosu potrafiła porwać i wzruszyć każdą widownię. Łącznie zagrała w życiu 260 ról, z tego 35 po angielsku. Wszędzie występowała gościnnie, nie wiążąc się na stałe z żadnym teatrem. Opuściła scenę w roku 1907.

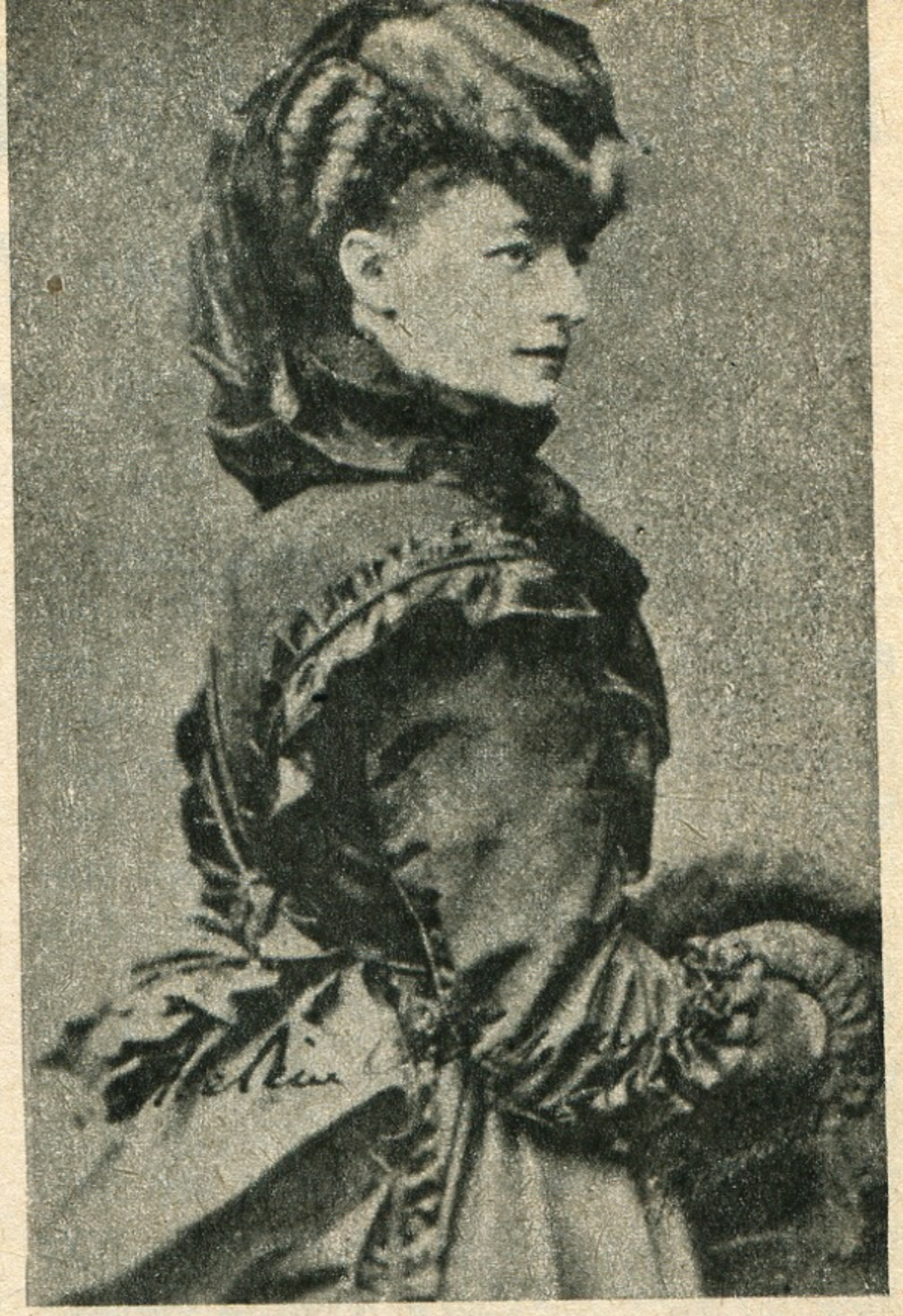

Helena Modrzejewska podczas występów w Warszawie

W roku 1883 przyjęła Modrzejewska obywatelstwo amerykańskie. Nie traciła jednak kontaktu z krajem, między innymi ufundowała w Zakopanem szkołę koronkarstwa, istniejącą do dziś.

Bolesław Orłowski

Helena Modrzejewska jako Kleopatra w sztuce Szekspira „Antoniusz i Kleopatra"

HELENA MODRZEJEWSKA

w San Francisco

(Kalifornia dnia 20 sierpnia 1877 r.)

Była godzina szósta po południu. Udałem się natychmiast do artystki, aby osobiście dowiedzieć się, jakim sposobem cud ten przyszedł do skutku. Odpowiedziano mi, że już jest w teatrze. Poszedłem do teatru — i nie mogłem się dostać do wnętrza, więc stanąłem przed afiszem i... nie chciałem własnym oczom wierzyć.

Wiedziałem uprzednio, że nasza artystka studiowała naprawdę język angielski dopiero od ośmiu miesięcy. Otóż przez ośm miesięcy wyuczyć się najtrudniejszego języka na świecie, wyuczyć się nie tylko potocznej mowy, ale scenicznej wymowy... na to istotnie potrzeba było cudu lub cudotwórczego geniuszu.

Bawiąc tu od lat blisko dwóch i przestając przeważnie z Amerykanami nauczyłem się ich rozumieć, ale nie zawsze mogę dokazać, aby oni mnie rozumieli. Znam rodaków naszych, ludzi wykształconych, którzy mieszkają tu od lat trzydziestu, a których angielszczyzna rozdziera jednak siedmioma mieczami amerykańskie uszy. Na koniec, czytając gazety sto razy zauważyłem, jak często krytycy zarzucają aktorom, urodzonym Amerykanom, złe wymawianie.

Nie dziwcie się więc, żem wątpił i że nie mieściło mi się w głowie, jak można było po ośmiu miesiącach zwalczyć te niezwalczone prawie dla cudzoziemców trudności i występować publicznie. (...)

Jeżeli się zlęknie i nie zdoła przemówić słowa? jeżeli zapomni roli? jeśli się omyli? wszakże ma grać w obcym języku? jeśli zmuszona będzie przeżyć własną wielkość, własną sławę i własne wielkie wspomnienia?

Na pobliskiej Kerney Street zegar wydzwonił kwadrans na ósmą. Już tylko trzy kwadranse.

Coraz większe tłumy zbierały się przed teatrem. Wśród obcych ludzi dostrzegłem i swojskie twarze, Poznańczyka Krzyżanowskiego, Piotrowskiego, Galicjanina inżyniera Bielawskiego, doktora Pawlickiego, Horaina i wielu innych. Trudno uwierzyć, jaką wagę przywiązywali wszyscy do tego wystąpienia. Nie była to już sprawa pojedynczej artystki, była to sprawa

Stronica z „Programu" pożegnalnego występu Modrzejewskiej w Nowym Jorku, 2.V.1905 r.

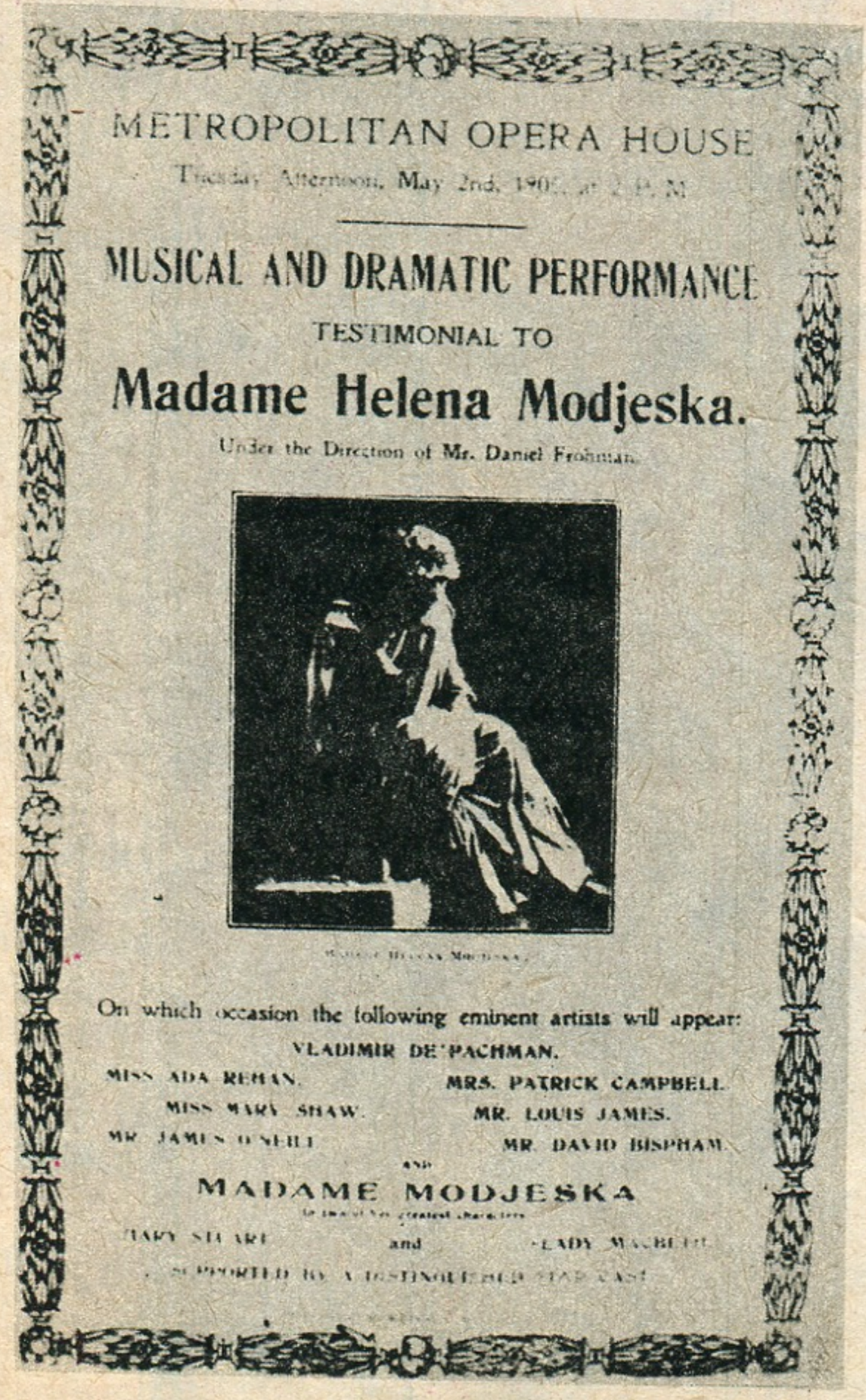

METROPOLITAN OPERA HOUSE

Tuesday Afternoon, May 2nd, 190[illegible] at 2 P. M.

MUSICAL AND DRAMATIC PERFORMANCE

TESTIMONIAL TO

Madame Helena Modjeska.

Under the Direction of Mr. Daniel Frohman.

On which occasion the following eminent artists will appear:

VLADIMIR DE PACHMAN.

MISS ADA REHAN. MRS. PATRICK CAMPBELL.

MISS MARY SHAW. MR. LOUIS JAMES.

MR. JAMES O'NEILL MR. DAVID BISPHAM.

AND

MADAME MODJESKA

[illegible] greatest characters

MARY STUART and LADY MACBETH

SUPPORTED BY A DISTINGUISHED STAR CAST

ogólna, kwestia klęski lub zwycięstwą. Kto zna lud amerykański, ten zrozumie, że tak było; krótko mówiąc, chodziło tu o chwałę nową lub pełną wstydu przegraną.

Dlatego też w mroku nocy i przy świetle gazu wydawali mi się wszyscy dziwnie poważni. I im też same myśli przychodziły do głowy. Ściskali w milczeniu moją rękę. W miarę nadchodzącej godziny coraz większe ogarniało nas wzruszenie. Począłem wypytywać o szczegóły, które poprzedziły wystąpienie.

Było wiele wskazówek złowróżebnych. Nie spodziewano się, aby teatr był napełniony. Ludzie tu niechętnie chodzą do teatru — chyba że przyjeżdża gwiazda z ustaloną reputacją. Znakomitości europejskie nic tu nie znaczą. Powagi europejskie nie są tu powagami. Dla Amerykanów istnieją Stany Zjednoczone, a dopiero poza Stanami kraje, okolice cywilizacyjne. (...)

Uderzyła godzina ósma, weszliśmy do teatru. Nie był pełny. Zasłona podniosła się wreszcie; przeszedł szybko akt pierwszy, w którym Adrianna nie ukazuje się na scenie, i rozpoczął się drugi.

Godzina stanowczo wybiła. Z głębi kulis ukazała się nasza artystka. Oklaski, jakimi przywitali ją rodacy, brzmiały długo i rozgłośnie, ale Amerykanie zachowali się obojętnie, więc oklaski przebrzmiały i zrobiła się cisza.

Słyszałem bicie serca siedzących obok mnie rodaków artystki.

Z zeszytem roli Roxany w ręku, poważna, może wzruszona, ale spokojna, zbliżyła się na przód sceny. Światła kinkietów rzucały na nią blaski. Idealna postać: rysy tak czyste, jakby wyszła spod dłuta Fidiasza, szlachetność rozlana w całej postawie i ów niewypowiedziany czar niewieści, znany wam dobrze, wrażenie uczyniły niezmierne na nieprzywykłej do takich postaci publice. Cisza stała się tak głęboka, że nie przerywał jej najmniejszy szmer.

Helena Modrzejewska jako Katarzyna w „Henryku VIII" Szekspira

Na koniec posąg przemówił. Wy znacie czary tego głosu głębokiego, serdecznego, w którym drgają łzy i srebro... wy znacie jego słodycz i jego potęgę, ale na scenie amerykańskiej, jakkolwiek nawiedzają ją najpierwsi artyści, było to zjawisko nowe, nieoczekiwane i niezwykłe; toteż w miarę jak artystka mówiła, głowy pochylały się naprzód, jakby w mimowolnym hołdzie, twarze traciły codzienny swój businessowy ostry wyraz, a zimna ciekawość zmieniała się w pełne sympatycznego uczucia zajęcie.

...Czar działał. Poczęto patrzyć na nią jak na słodką istotę, której nikt nie zrobiłby krzywdy, jakby nie zrobił gołębiowi. Słyszałem naokoło słowa: „Very nice! very nice!... O! my God! How sweet" (Jak słodka). Tymczasem akcja ożywiła się na scenie. Niezrównanej kobiecie przyszła z całą potęgą w pomoc niezrównana artystka. Gdy nadeszła kolej na bajkę La Fontaine'a,

publiczność zatrzymała oddech w piersiach. Jakieś niewypowiedziane przeczucie kazało oczekiwać wszystkim czegoś niezwykłego. Głos artystki rozległ się jakby zaziemska muzyka po wszystkich zakątkach teatru. W oczach rodaków zabłysły łzy... O! już było zwycięstwo wielkie, w rocznikach polskiej sztuki niesłychane. Gdy skończyła, cisza trwała jeszcze przez chwilę, jakby publiczność nie zdołała się ocknąć od razu z upojenia. Potem... trudno opisać, co się stało. Burza prawdziwa oklasków, okrzyków, nawoływań. Zimna z natury publiczność uniosła się do tego stopnia, iż potem dziennikarze mówili mi, że jak Ameryka Ameryką, nie pamiętano takiego entuzjazmu. Nieszczęśliwy Maurycy Saski pięć razy zaczynał swój frazes i pięć razy nie mógł go skończyć. Aktorowie sami byli zdziwieni. Tu publiczność zwykle nie oklaskuje nikogo. Artystka sama nie spodziewała się niczego podobnego. Po skończonym akcie wyszła rozrzewniona i upojona. Teatr wył, ryczał, klaskał, tupał.

Henryk Sienkiewicz
„Listy z podróży do Ameryki"

NAJDAWNIEJSZE WSPOMNIENIA TEATRALNE

Za czasów mego dzieciństwa i pierwszej młodości rzadko chodziłem do teatru. Pamiętam, jak przez mgłę, przedstawienie „Kościuszko pod Racławicami" Anczyca, sztukę patriotyczną i popularną. Słynny aktor, który później dożył niemal stu lat, Ludwik Solski, wjeżdżał konno na scenę, grając Naczelnika Tadeusza Kościuszkę. Była to — oczywiście — sensacja.

Władze szkolne w Krakowie, gdzie mieszkałem z rodzicami, nie zanadto popierały teatr. Profesorowie i dyrektor chodzili na premiery, ale woleli, by młodzież się nie rozpraszała w nauce. Nasza klasa dzieliła się na dwa „stronnictwa": zwolenników teatru i kina, jeszcze niemego. Wszystkich godziło masowe uczęszczanie na mecze piłkarskie i zawody lekkoatletyczne.

Najbardziej zapaleni teatromani uprawiali osobliwy proceder. Wiedzieliśmy, że jeden z profesorów specjalnie chodzi na sztuki nie dozwolone dla młodzieży. Nasz kunszt na tym polegał, by cały czas nie tracić z oczu owego wroga teatru — i nie być przez niego widzianym.

Dopiero później zaczęliśmy chodzić do Teatru im. Słowackiego na wielkie dramaty klasyczne. Olbrzymie wrażenie sprawiała gra wielkich aktorów. Józefa Sosnowskiego jako Derwida w „Lilli Wenedzie" Słowackiego, Makbeta w tragedii Szekspira, Dziennikarza w „Weselu" Wyspiańskiego. A także — Stanisławy Wysockiej w sztukach Ibsena, Rostworowskiego i Słowackiego. Adwentowicza w „Hamlecie" Szekspira i w „Tańcu śmierci" Strindberga. Po przedstawieniach, razem z mym kolegą z jednej ławki, przyszłym fraszkopisarzem Jasiem Sztaudyngerem, włóczyliśmy się po Plantach, dyskutując o grze i utworach.

Potem zacząłem statystować w teatrze, np. w „Nocy Listopadowej" Wyspiańskiego. Zapałem swoim zwróciłem uwagę. Powierzono mi więc w następnym spektaklu — zadanie samodzielne. Miałem nosić chorągiew w „Kilińskim" Bałuckiego. Niestety, na próbie generalnej ustawiłem się tak niefortunnie, że owa chorągiew zaczepiła o urządzenie służące do rozsuwania kurtyny. Nie mogłem jej utrzymać, chorągiew upadła z hukiem na scenę. Reżyser zawołał mnie do siebie i z gniewem zabronił dalszego udziału w spektaklach. „Nie pokazuj mi się więcej, szczurze jeden" — zawołał.

Wiele lat potem w podchorążówce, miałem grać w scenie więziennej „Dziadów" Mickiewicza, które wystawialiśmy na zakończenie kursu. Niestety, kolega mój, w zdenerwowaniu, przeskoczył kilka scen — i cała moja rólka przepadła. Zrozumiałem, że los mi nie pozwala zostać aktorem. Wybrałem zawód krytyka teatralnego.

Wojciech Natanson

Wróbelki

Jana Sztaudyngera

Idą chmurki

Idą chmurki po niebie, złote mają runo,
rozwinęły skrzydła. Chwila, i pofruną.

Wiosna

Nie depcz trawy,
niechaj nabiera wprawy,
bo nie umie jeszcze szumieć,
a musi to przecież umieć.

Nie zrywajcie

Nie zrywajcie kwiatów na tej górskiej łące,
Niechże sobie kwitną śliczne, woniejące!

Nota jaskółce

Wysoką postaw jej notę
za powrót i tęsknotę.

Rys. Jerzy Flisak

Teatr jest najważniejszą rzeczą na świecie, gdyż tam pokazuje się ludziom, jakimi mogliby być, jakimi pragnęliby być, choć nie mają na to odwagi, i jakimi są.

Tove Jansson
Przełożyła Irena Szuch-Wyszomirska
(„Lato Muminków")

PUDEŁKO, ZWANE WYOBRAŹNIĄ

Zastukaj palcem w ścianę —
z dębowego klocka
wyskoczy
kukułka.

Wywoła drzewa,
jedno i drugie,
aż stanie
las.

Zaświstaj cienko —
a pobiegnie rzeka,
mocna nić,
która zwiąże góry z dolinami.

Chrząknij znacząco —
oto miasto
z jedną wieżą,
szczerbatym murem
i domkami żółtymi
jak kostki do gry.

Teraz
zamknij oczy —
spadnie śnieg,
zgasi
zielone płomyki drzew,
wieżę czerwoną...

Pod śniegiem
jest noc,
z błyszczącym zegarem na szczycie,
sową krajobrazu.

Zbigniew Herbert

ROZMOWA Z AKTOREM

(fragment)

Mówił o roli:
że chciałby — powiada — widownię
stroić, jak skrzypce się stroi
(nasz narodowy instrument),
że czasem śni mu się tak:

„Na scenie jest parę świec
i więcej nic —
lecz w blasku tych małych świec
jakaś serdeczna sprawa,
jakaś sztuka pt. np. „Warszawa"
i słowa w sztuce poczynają biec
jak chmury złote, które wiatr wiosenny goni —
aż zachwycona widownia powstaje z miejsc,
aż pochodniami są płomyczki świec
I JEDNO JEST: AKTOR I ONI".

— Czy napiszesz mi taką rolę?
— Spróbuję. Odejdź z nadzieją.

Sztuka jest wieczną wiosną.
Sztuka jest ciepłym wiatrem,
od którego śniegi topnieją.

Konstanty Ildefons Gałczyński

W TEATRZE

Dziwnych rzeczy
można się napatrzeć
na przykład,
na przykład,
niestety, tylko w teatrze.

Takich wrażeń
nic nie może zatrzeć.
Wspaniałe jest życie,
niestety, tylko
w teatrze.

Słowo tutaj
zmienia się w zaklęcie
i zawsze,
i zawsze
znaczy dużo więcej.

Mkną intrygi
na spienionych koniach,
a słońce,.
a słońce
ktoś ukrywa w dłoniach.

A pozory,
najpierw niepozorne,
na końcu,
na końcu
stają się ogromne.

Niepojęte
nagle bywa jasne,
prześliczne,
magiczne
jest życie w teatrze.

Aż do końca
oczy można wypatrzeć
na przykład,
na przykład,
niestety, tylko w teatrze

Siedzą dzieci
pogrążone w sztuce,
podpatrują
tajemnice
cudze...

Bogdan Chorążuk

Ilustrował Przemysław Wołniak

TEATR W TRZCIŃCU

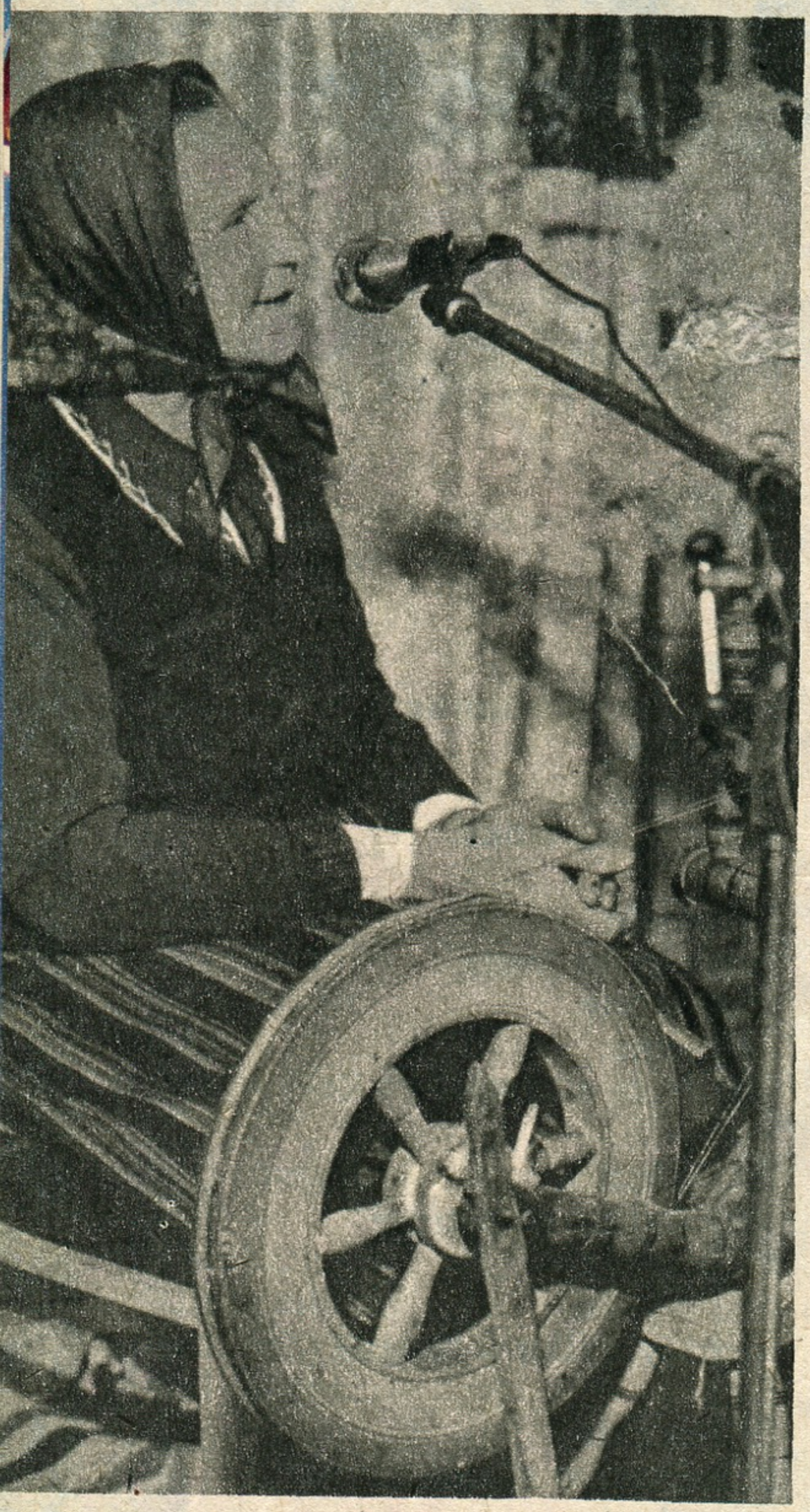

Pomysł założenia tego teatru pojawił się nieoczekiwanie. Pewnego dnia, przed dwudziestu paru laty, kilkanaście młodych głów postanowiło nagle:

— będziemy mieli w Trzcińcu koło Skórca własny, prawdziwy teatr;

— będziemy grać komedie, ale nie te znane z literatury, ale nasze, trzcinieckie.

— A kto je napisze?

— Wiadomo, Henia Cabaj.

Pierwsze próby odbywały się w domu Cabajów, w głównej izbie. Zmęczeni po całodziennej pracy przychodzili do Cabajów. Przepisywali wieczorami role, a potem uczyli się ich w chwilach wolnych od pracy w polu.

W takich domowych warunkach przygotowali przedstawienia: „Zaręczyny", „Wesele Zosi", „Życie kobiety wiejskiej", „Dzielny sołtys".

Komedie te, spisane w grubych zeszytach, skrzętnie przechowuje do dziś pani Henryka. Niechętnie wyjmuje je z szuflady starej toaletki, wiele bowiem zeszytów (po wypożyczeniu) już nie powróciło do niej...

Pani Henryka urodziła się tu, w Trzcińcu, niedaleko Siedlec, przed 66 laty. W domu było ich pięcioro rodzeństwa. Pierwsze dwie klasy szkoły powszechnej ukończyła w swojej rodzinnej wsi. Dalej uczyła się już w sąsiedniej wsi, dwa kilometry stąd, w Olszycu Szlacheckim.

Jeszcze dziś z dumą podkreśla, że tylko jej i jeszcze jednemu chłopakowi z Trzcińca udało się ukończyć siedem klas. To było już wykształcenie! Tuż po wojnie, kiedy brak było wykwalifikowanych nauczycieli, uczyła nawet w szkole!

Siedzimy w obszernej izbie wśród kwiatów i haftowanych poduszek. Na szafie dekoracje z ostatnio wystawianych „Herodów". W kącie kołowrotek. Rozmawiamy o pogodzie i zajęciach w gospodarstwie, o wnuczkach, o latach młodości.

— Wszędzie nas było pełno — mówi pani Henryka. — Działaliśmy, gdzie się tylko dało, w „Wiciach", potem w ZMW. Niech pani posłucha, jaką ułożyłam piosenkę do „Wesela Zosi":

Dziwują się ludzie
I ja sama sobie,
Z czego ja się, Janku,
Spodobałam tobie.

Spodobałaś mi się,
Marysiu, po mowie,
Żeś umiała nosić
Wianuszek na głowie.

Spodobałaś mi się,
Maryś, spodobała,
Kiedyś się na polu
Jak gąska bielała.

Elżbieta Wrzecionkowska

Krakowski artysta – WITOLD CHOMICZ

Plastyk. Malarz i grafik. Pejzażysta i portrecista. Autor projektów znaczków pocztowych i exlibrisów. Linorytów i drzeworytów. Pedagog.

To wszystko jeden człowiek. Witold Chomicz — krakowski artysta, który temu miastu poświęcił cały swój talent.

Profesor Witold Chomicz urodził się 1.XI.1910 r. w Kijowie. Zmarł 15.III. 1984 r. w Krakowie. Gdyby żył, w tym roku obchodziłby 55-lecie swej pracy twórczej. Cały dorobek artystyczny profesora Chomicza związany jest z Krakowem i historią Polski. Tak przyczyny tego związku wspomina w swoim pamiętniku:

„We wczesnym dzieciństwie uległem urokowi Krakowa (...) Na jednej z prelekcji dla młodszych i starszych dzieci Julian Wołoszynowski opisywał w porywający sposób Kraków i jego zabytki; Wawel, groby królów, kościół Mariacki, stare mury z Barbakanem, tak sugestywnie, że utkwiły one w mej pamięci wzrokowo, odczyt był ilustrowany przez tzw. „czarnoksięską latarnię", epidiaskop (...)

Największe wrażenie na mnie jako 8—9-letnim chłopcu zrobiły „Jasełka" Lucjana Rydla (...) Cóż to była za erupcja polskości, co za wspaniałe stroje królów, mieszczan, chłopów (...) Wszystko w ruchu, wszystko

Profesor Witold Chomicz w swojej pracowni na tle projektów witraży

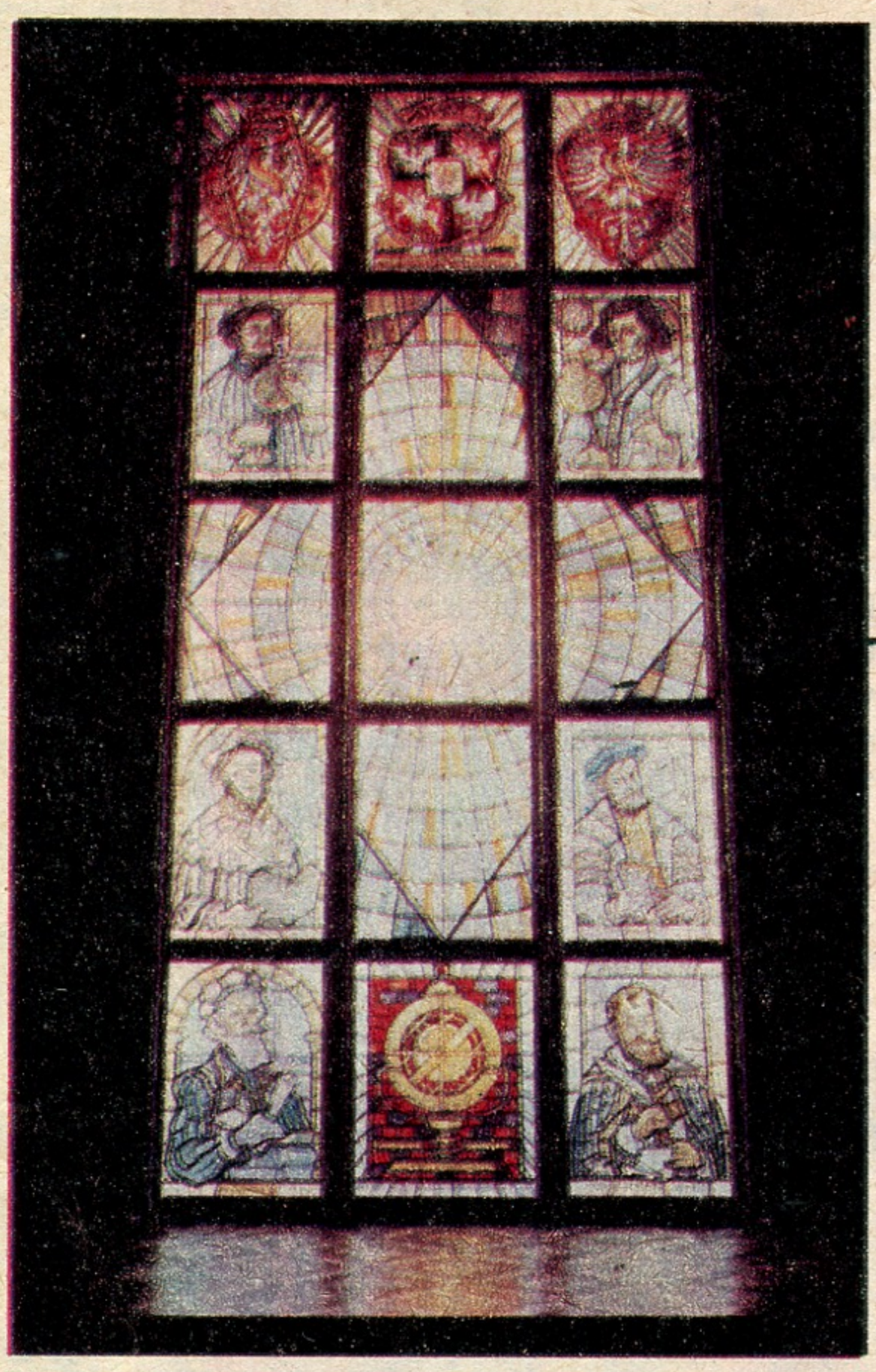

Witraż wystawiony w „Domu Polonii" w Krakowie

lśniące, jarzące się od świateł, dźwięczące melodiami polskiej ludowej kapeli i krakowiaków śpiewanych solo i chórem. Optycznie, słuchowo i uczuciowo byłem wstrząśnięty. Dziś pamiętam te „Jasełka", mimo że minęło przeszło pół wieku od chwili tego przeżycia".

Kiedy dorósł, wiedział, co będzie robił. Witold Chomicz studiował w Szkole Sztuk Zdobniczych w Krakowie i w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. W 1934 r. rozpoczął pracę pedagogiczną w Państwowym Instytucie Sztuk Plastycznych w Krakowie, gdzie w 1937 r. został profesorem i kierownikiem Katedry Grafiki Użytkowej. Tu studiowało wielu późniejszych wybitnych ilustratorów, również książek dla dzieci i młodzieży, m. in. Maria Orłowska-Gabryś i Zbigniew Rychlicki.

Jako artysta Witold Chomicz debiutował ponad pięćdziesiąt lat temu. W ciągu tych pięćdziesięciu lat stworzył wiele dzieł, które zdobyły wielkie uznanie wśród odbiorców i znawców sztuki. A tworzył sztukę prawdziwie polską. Najczęściej źródłem jej było zainteresowanie wsią i folklorem. Zresztą nie tylko folklorem wiejskim, także folklorem Krakowa. W drzeworytach, obrazach olejnych i plakatach widoczne jest zainteresowanie artysty sztuką ludową.

Twórczość Witolda Chomicza jest, jak już wspomniałam, bardzo wielostronna. Uzmysłowiłam to sobie w pełni, będąc w pracowni profesora w Krakowie przy ulicy Grodzkiej, gdzie mieszkał i tworzył. Na ścianach i pod ścianami, na półkach i we wszystkich kątach — dzieła mistrza. Pokazuje je nam, redaktorom „Płomyczka", żona profesora.

— To wszystko jeszcze nie uporządkowane, ale tyle tego jest... — tłumaczy nam wyjmując z szafy pudła ze zdjęciami i wycinkami prasowymi.

Rozmowę przerywa nam niespodziewana wizyta. To przyszedł jeden z uczniów profesora Chomicza. Wpadł na chwilę, tak jak przychodziło tu ich wielu, gdy profesor jeszcze żył...

Po jego wyjściu oglądamy dzieła, którym profesor poświęcił ostatnie lata swojego życia, które były jego pasją, a jeszcze o nich nie wspomniałam. To witraże. Rysunki i szkice tych, które powstały tylko na papierze, i fragmenty już gotowych.

Złoty „Globus Jagielloński" z witrażu kopernikańskiego

Jan Kochanowski — fragment witrażu

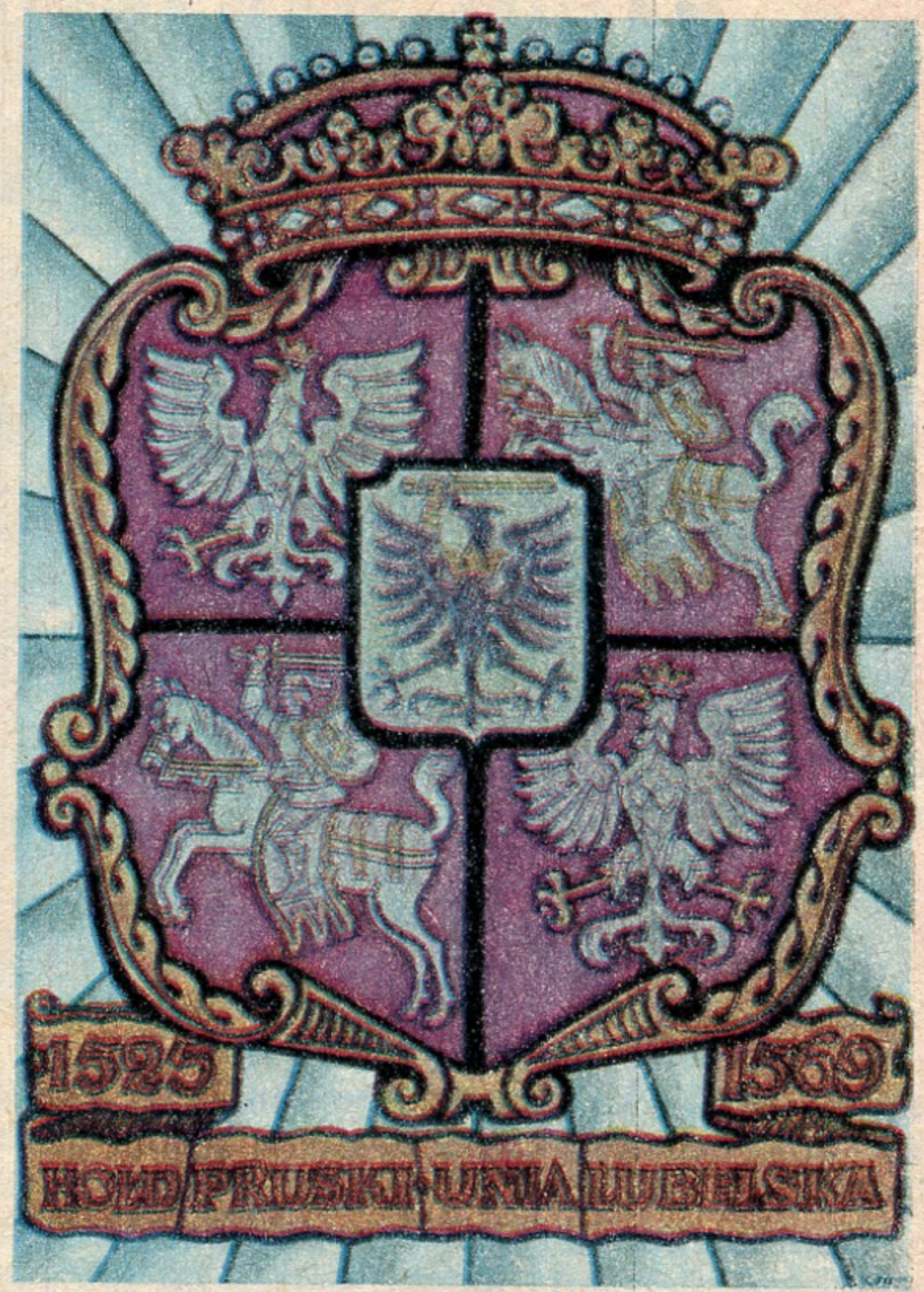

Witraż „Hołd Pruski — Unia Lubelska"

Największy cykl chciał profesor umieścić w oknach auli Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego. 5 dużych okien, każde składające się z 15 kwater (mniejszych witraży) — razem 75 obrazów o wspólnym temacie — historia Polski. Na ten sam temat — historii Polski — zaprojektował profesor Chomicz witraże, znajdujące się w oknach apteki „Pod Orłami", a poświęcone Krakowskiemu Gettu.

— Musi pani koniecznie zobaczyć to wykończone witrażowe okno. W Domu Polonii przy Rynku Głównym, gdzie jest wystawione, ma dużo lepsze oświetlenie niż witraże tu, w pracowni — mówi na pożegnanie pani Ludomira Chomiczowa.

Zobaczyłam ten witraż. A na nim barwne orły piastowskie, Mikołaja Reja z Nagłowic i Jana Kochanowskiego. Mikołaja Kopernika i Globus Jagielloński, na którym po raz pierwszy oznaczono Amerykę. Z ramy okiennej, przy której stoi witraż, padają cienie na jego fragmenty — i tu oświetlenie nie jest najlepsze. Ale tam, gdzie miało być jego miejsce, gdzie widział go profesor — to jest w oknie auli uniwersyteckiej, byłoby na pewno właściwe.

Maria Czernik

Witraż „Płowce"

„ZANIM NARODZIŁ SIĘ CZŁOWIEK"
(czyli o Harcerskim Zespole Pantomimicznym z Barda Śląskiego)

Przypadli ciasno do podłogi. Za chwilę znów ożyją. Delikatne drganie stóp i kolan. Potem ciała wchodzą w trans, wyrzucane miękko do góry opadają jak falowanie wody.

*

Rozpoczynając pracę w szkole podstawowej Janusz Dawidowicz miał równocześnie zaopiekować się działającą w niej 7 Drużyną Harcerską. Zaproponowano mu także, aby utworzył tu dziecięcy zespół ludowy.

Dopiero od zimy 1980 r. rozpoczęły się pierwsze nieregularne próby.

*

Teraz już gwałtowne ruchy. Ciała skręcają się. Dynamiczne odrzucanie od siebie rąk i nóg i... zastygają.

W grudniu 1982 r. przyszedł pierwszy sukces: zakwalifikowali się na Spotkanie Teatrów Amatorskich (tzw. Spotkanie Barbórkowe) odbywające się w Dąbrowie Górniczej. W zeszłym roku zaś przypadła im „Złota Jodła" na Festiwalu Kieleckim.

*

Później ruchy są nienaturalne, kalekie, jakby byli dziwacznymi, niezgrabnymi stworami. Sztywność ciała potęguje ekspresję. Próbują powstać z ziemi pokazując całą swą bezwładność.

*

Próby nie są wcale łatwe. Janusz zawsze wymaga więcej od starszych. Dla młodszych jest to z reguły zabawa ruchowa. Ale są i takie spotkania, na których wszy-

Fot. Jan Wichrowski

scy pracują bardzo ciężko. Maluchy stają na głowie, robią „mostki", a wykonują to na przykład na asfalcie... bez żadnych materaców.

W ich rodzinnym mieście, Bardzie Śląskim, nikt się nimi specjalnie nie interesuje. Na pierwszych sześciu przedstawieniach na widowni było łącznie siedemnaście osób.

*

Rączki Emanueli bezradnie ciągną się po podłodze, tułów zawieszony jest na barkach Pawła.

*

Ćwiczą przeważnie w sali gimnastycznej, z której Janusz, jako nauczyciel wychowania fizycznego, ma prawo korzystać. Do niedawna nie mieli radia, magnetofonu, wzmacniacza ani porządnych kostiumów. Przecież to wszystko kosztuje, a oni nie mają mecenasa.

*

Chód jest kolebiący, ruchy małpie. I wreszcie pojawia się on — C z ł o w i e k. Marcin wyprostowany, ma napięte mięśnie i skupioną twarz. Jest panem natury, teraz wszystko będzie mu posłuszne...

*

Początkowo Janusz przyjmował do zespołu każdego, kto chciał być z nimi. Po paru miesiącach wspólnych ćwiczeń egzaminował ich z wyuczonych ruchów. Pozostali tylko najlepsi i najwytrwalsi. Rodzice dzieci i młodzieży nie zawsze odnoszą się do zespołu z pełną aprobatą. Pantomima nie jest jeszcze sztuką rozumianą powszechnie i popularną.

Od Redakcji

Materiał ten opracowaliśmy z wydrukowanego w „Na przełaj" (Nr 51 16.XII.1984) artykułu pt. „Zrozum swoje ciało", którego autorką jest członek KMA — Klubu Młodych Autorów — DOROTA KIELAK

MARTENICZKI — co to takiego?

Wiosna astronomiczna zaczyna się dwudziestego pierwszego marca, ale w Bułgarii, według dawnych wierzeń, przychodzi nieco wcześniej — pierwszego marca. Tego dnia wszyscy w całej Bułgarii przypinają sobie biało-czerwone ozdoby. Nazywają się one martenice lub w zdrobnieniu marteniczki (po bułgarsku mart — znaczy marzec).

Dawniej marteniczki robiono w domach. Teraz kupuje się je w różnych sklepach, w kioskach i na specjalnie ustawionych wzdłuż ulic straganach.

Te ozdoby wykonane z biało-czerwonej włóczki, mają przeróżne kształty: wisiorków, pomponików, podkówek, zwierzątek, frędzelków i serduszek. Wszystko biało-czerwone!

Są to symbole zdrowia i radości. Kolor biały oznacza radość z nadejścia wiosny, a kolor czerwony ma chronić

Fot. Stefan Rutkowski

przed złem, które również budzi się na wiosnę.

Marteniczki — to dawny obyczaj, sięgający czasów starożytnych. Zachował się on także w Rumunii i Jugosławii, ale najpopularniejszy jest w Bułgarii, gdzie marteniczki noszą wszyscy. W klapach marynarek, przy płaszczach, paltach, kożuchach, przy damskich torebkach, przy szkolnych teczkach i tornistrach. W owe dni nawet najczcigodniejsi dostojnicy nie śmią pokazać się publicznie bez marteniczek. Ofiarowuje się je najbliższym i znajomym jako prezent lub razem z prezentem czy kwiatami. Przesyła w listach i na kartach pocztowych z życzeniami: „Szczęśliwej wiosny!"

Dawniej kolorowe ozdoby zdejmowano w dniu przylotu pierwszych ptaków: bocianów lub jaskółek, co świadczyło, że wiosna zadomowiła się już na stałe. Teraz marteniczki nosi się do końca marca.

Marteniczki, to biało-czerwone „szaleństwo", jest niezwykle miłe, zwłaszcza dla nas — Polaków, przecież cała dekoracja na powitanie wiosny w Bułgarii ma nasze narodowe barwy.

Drugim starym zwyczajem, związanym z wygnaniem zimy i nadejściem wiosny, są w Bułgarii niezwykle barwne, a jednocześnie hałaśliwe zabawy przebierańców, zwane zabawami „kukierskimi". Przeczytajcie o nich na ostatniej stronie „Płomyczka", a tutaj obejrzyjcie jeszcze kilka zdjęć z tego widowiska łączącego w sobie element teatru, cyrku i wielkiej ludowej zabawy. Zabawy z okrutnie strasznymi — na niby — maskami.

Opracowała Alicja Olszewska

Nasze listy • Nasze sprawy • Nasze listy

W tym numerze „Płomyczka" — jak zauważyliście — pełno teatru: dwa opowiadania o Helenie Modrzejewskiej (wspomnienie H. Sienkiewicza i artykuł B. Orłowskiego), dwa teksty poświęcone zespołom amatorskim (E. Wrzecionkowskiej o teatrze ludowym z Trzcińca i D. Kielak o harcerskiej pantomimie z Barda Śląskiego) oraz wiersze K. I. Gałczyńskiego, Z. Herberta i B. Chorążuka.

W naszej rubryce listów przedstawiamy dziś dwa szkolne teatrzyki i ich aktorów. Najpierw spójrzcie na zdjęcia. Oto w całej swojej krasie teatrzyk „Skierka" ze Szkoły Podstawowej w Mrzygłodzie. Działa już od siedmiu lat i, jak napisali w liście jego członkowie, odnosi sukcesy nie tylko w szkole, lecz i na gminnych, regionalnych i wojewódzkich przeglądach teatrzyków dziecięcych. Próby teatrzyku odbywają się po lekcjach i w wolne soboty. Opiekunką teatrzyku jest nauczycielka, pani Elżbieta Wojtowicz.

„Kochamy ten nasz teatrzyk — piszą uczniowie. — *Na próbach poznajemy tajemnice gry aktorskiej. Uczymy się poprawnie i wyraźnie mówić oraz poruszać na scenie. Pod opieką naszej Pani sami reżyserujemy przedstawienia. Projektujemy też i wykonujemy dekoracje oraz stroje. Zanim wystąpimy przed publicznością, długo i solidnie przygotowujemy się na próbach. Wystawiliśmy już „Legendę o Warsie i Sawie" oraz „Legendę o smoku wawelskim".*

Nie mamy wprawdzie fotografii z występów teatrzyku ze Szkoły Podstawowej nr 5 w Lublinie, ale wiemy z listu uczniów tej szkoły, że występują w nim członkowie kółka poloni-

stycznego, czyli trzy Agnieszki, dwie Kasie, Dorotka, Ewa, Magda i Piotrek. Opiekunką teatrzyku jest nauczycielka języka polskiego pani Mieczysława Kurczewska.

„Na naszych czwartkowych dwugodzinnych spotkaniach pogłębiamy swoje zainteresowania teatrem i poezją — napisali w liście do nas szkolni aktorzy. — *Przygotowujemy inscenizacje i wieczorki poetyckie, z którymi potem występujemy przed nauczycielami i rodzicami oraz kolegami. Próby wymagają dużego wkładu pracy oraz dyscypliny, ale potem co za satysfakcja, gdy nasz występ nagrodzony jest oklaskami. Cieszymy się wtedy jak jedna rodzina, chociaż jesteśmy z różnych klas".*

Członkowie teatrzyku „Skierka" i teatrzyku z Lublina tak kończą swoje listy:

„Napisaliśmy do Ciebie, „Płomyczku", z tą myślą, że opowiadając o naszym teatrzyku zachęcimy kolegów z innych szkół do zabawy w aktorów. Gdy spróbują, to na pewno przekonają się, jaką to ciekawą i fascynującą sprawą jest teatr".

Już w najbliższym numerze „Płomyczka" opublikujemy pierwsze odpowiedzi na nasz stały konkurs „Moje Najciekawsze".

Czekamy na Wasze dalsze listy o ciekawych ludziach i miejscach (a także na fotografie i rysunki).

Listy przysyłajcie do „Płomyczka" pod adresem: 00-389 Warszawa, skr. poczt. 380 z dopiskiem na kopercie „Moje Najciekawsze".

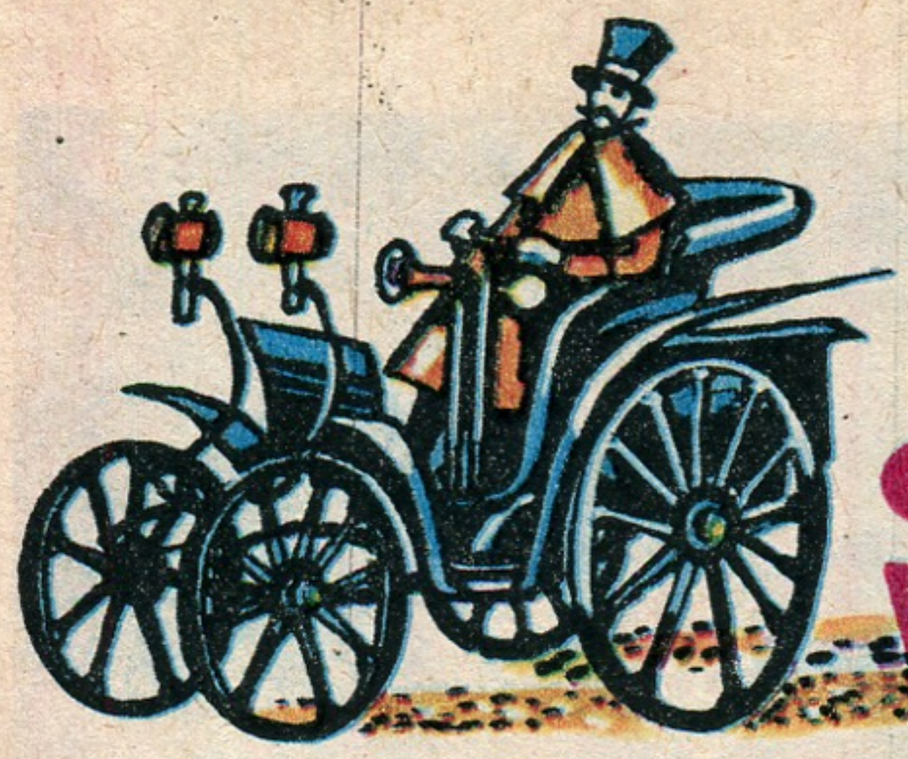

100 LAT SAMOCHODU

POJAZDY Z SILNIKAMI SPALINOWYMI

Duże drogowe pojazdy parowe, o których mówiliśmy w poprzednim odcinku z serii „100 lat samochodu" („Płomyczek" nr 4/85), konkurowały z koleją szynową. Rywalizację przegrywały, ponieważ kolej mogła przewozić większą liczbę osób i więcej towarów, a poza tym jeździła szybciej po ułożonych szynach niż omnibusy parowe poruszające się po złych, nierównych drogach.

Wynalazcy zdawali sobie sprawę, że ciężkie maszyny parowe nie są dobre do napędu pojazdów drogowych. Czyniono więc próby opracowania innego środka napędu.

Inżynier Etienne Lenoir, Belg z pochodzenia, mieszkający we Francji, zbudował w 1862 roku pojazd z silnikiem na gaz świetlny. Spalający się w małym cylindrze gaz świetlny poruszał znajdujący się tam tłok i napęd przenoszony był na tylne koła pojazdu. Silnik spalinowy Lenoira (spalał gaz, dlatego nazywany był spalinowym) był dużo mniejszy i lżejszy od maszyny parowej z dużym kotłem na wodę. Umieszczony został pod podłogą pojazdu, pomiędzy tylnymi kołami.

W 1875 roku na ulicach Wiednia pojawił się pojazd zbudowany przez austriackiego ślusarza, Siegfrieda Marcusa. Pojazd miał nie tylko mały silnik spalinowy,

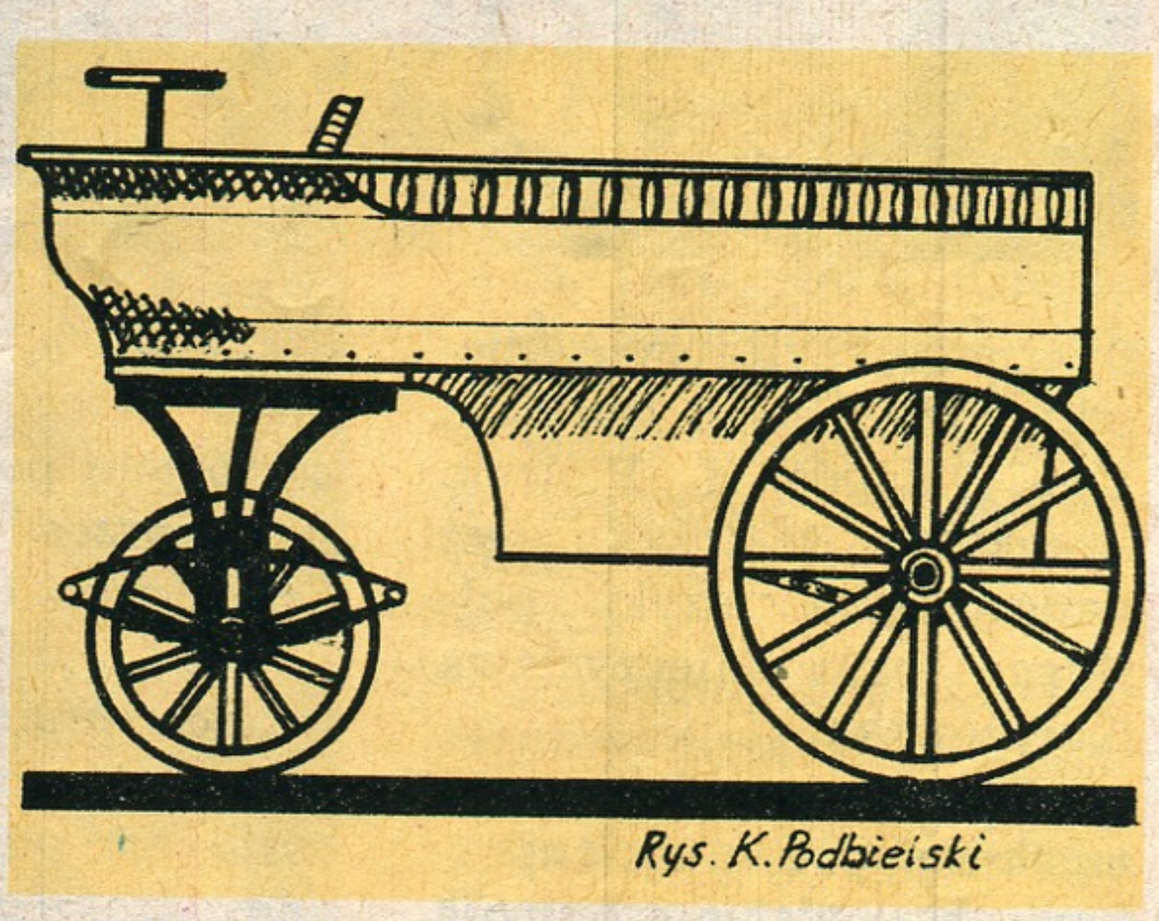

Pojazd Lenoira z 1862 roku, napędzany silnikiem na gaz świetlny

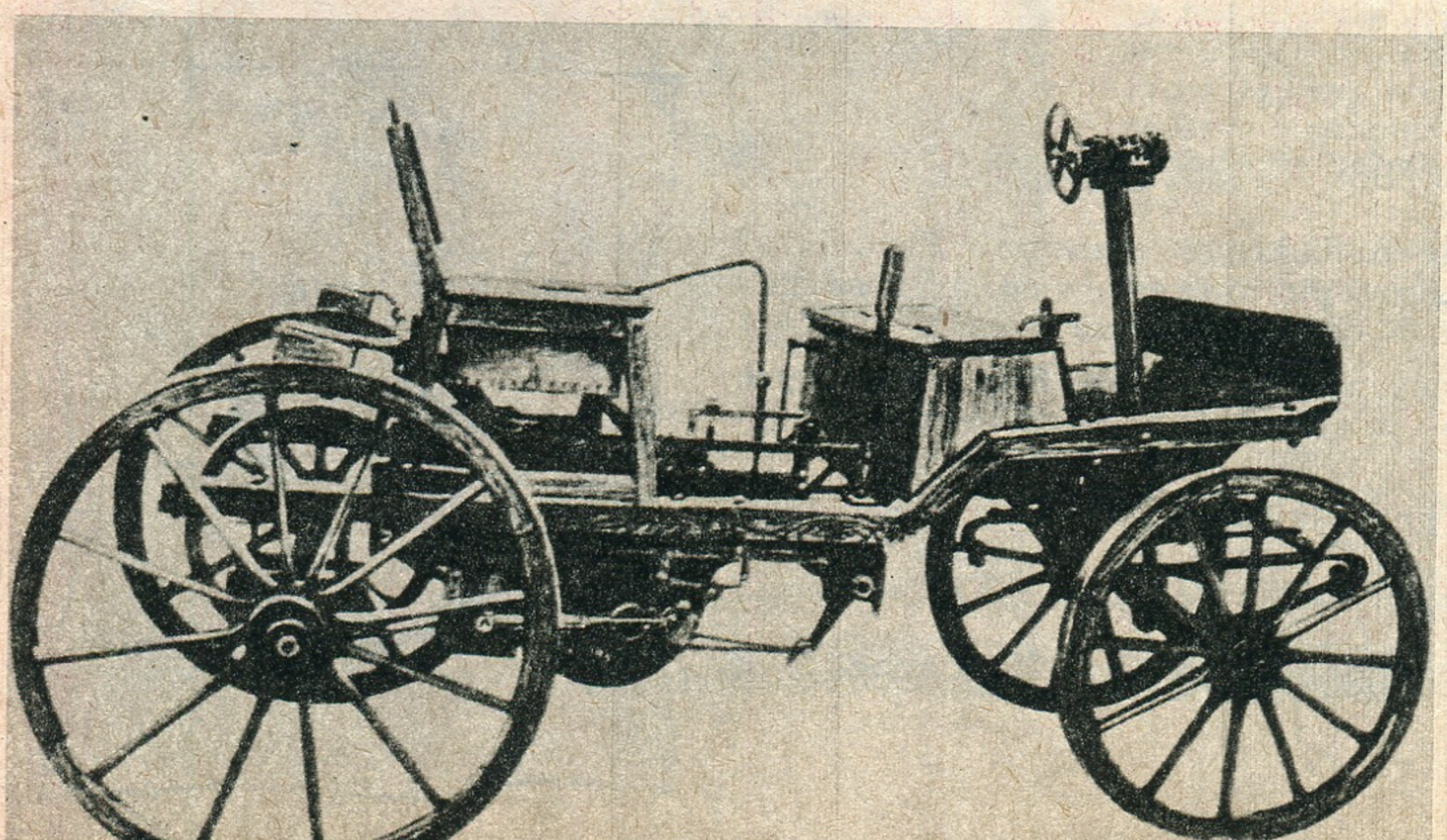

Zbudowany w 1875 roku przez Marcusa pojazd miał już cechy późniejszych samochodów

Trzykołowa „bryczka bez koni"
Benza z 1888 roku

spalający kupowaną wówczas w aptece benzynę, ale konstruktor zastosował w nim wiele urządzeń, które spotykamy w dzisiejszych samochodach. Był układ kierowniczy umożliwiający skręcanie przednimi kołami, były hamulce — zrobione z klocków drewnianych — dociskane do obręczy kół tylnych. Poza tym wygląd pojazdu Marcusa odbiegał od wyglądu bryczki konnej. Podobny był do budowanych znacznie później samochodów. Ten nowoczesny wówczas pojazd napędzany był silnikiem o małej mocy i rozwijał małą prędkość, zaledwie do 8 kilometrów na godzinę.

W sąsiadujących z Austrią Niemczech również pracowano nad udoskonaleniem pojazdów drogowych. W latach 1883—1885 dwaj niemieccy konstruktorzy: Daimler i Benz, prowadzili próby z silnikiem spalinowym, aby przystosować go do napędu pojazdu. Pracowali oddzielnie, jeden nie wiedział nic o usiłowaniach drugiego. Ich wysiłki zostały uwieńczone sukcesem. Prawie jednocześnie, w 1885 roku, obaj konstruktorzy zbudowali pojazdy napędzane silnikami spalinowymi. Silniki te pracowały szybko — miały dostateczną liczbę obrotów. Rok 1885, rok skonstruowania sprawnych silników benzynowych, uznano za datę narodzin samochodu, a za jego wynalazców właśnic Karola Benza i Gottlieba Daimlera.

Zdzisław Podbielski

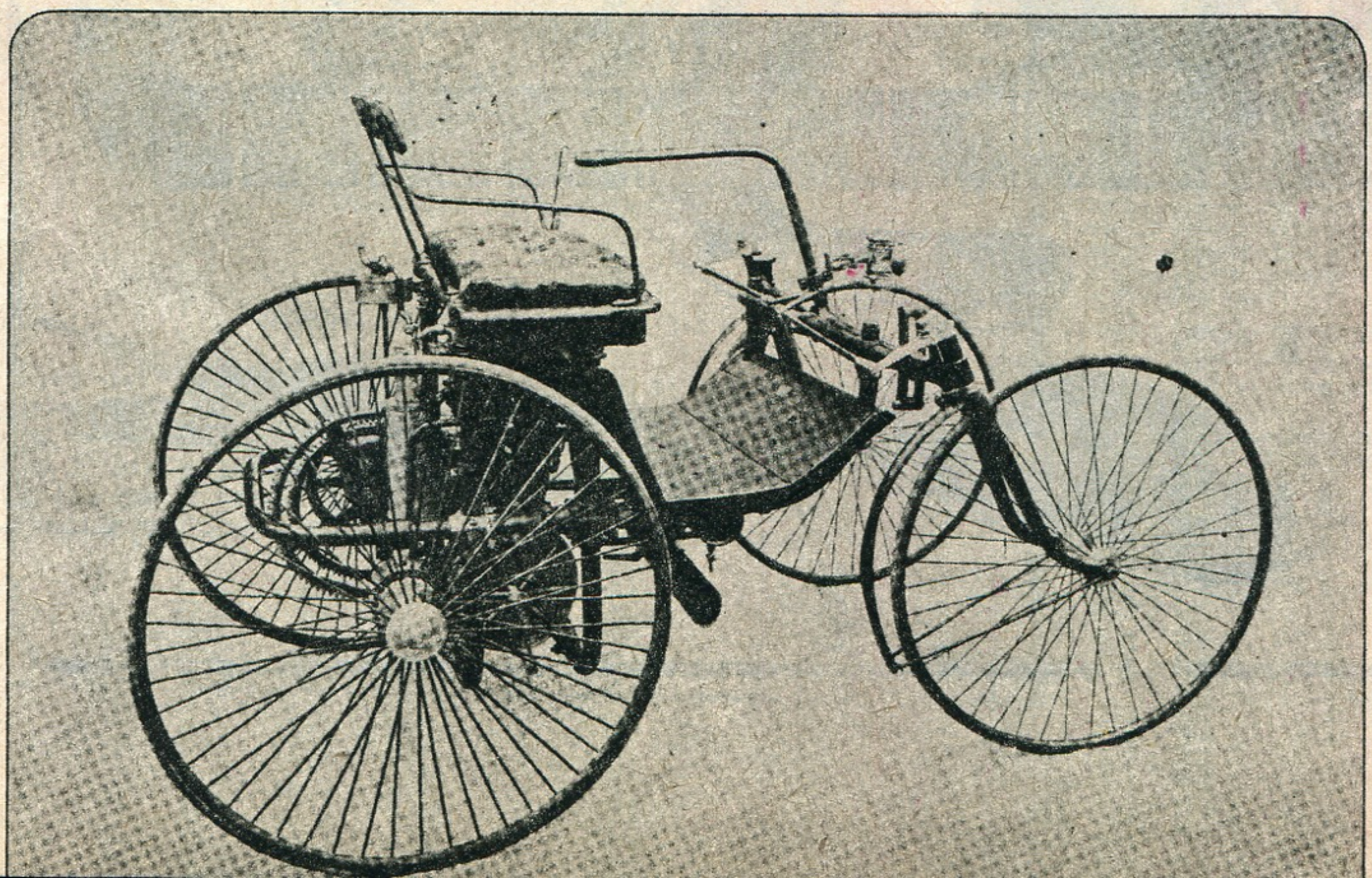

Motorowa bryczka Daimlera z 1889 roku poruszała się z prędkością do 18 do 22 kilometrów na godzine

Zwierzęta chronione

Odgadnij nazwy zwierząt chronionych, przedstawionych na rysunkach. Nazwy te wpisz w kratki owalnej figury, rozpoczynając od pierwszej litery K. Ostatnia litera każdego wyrazu jest równocześnie pierwszą literą wyrazu następnego. Litery te są już wpisane w kratki. Litery umieszczone przy rysunkach zwierząt stanowią pierwsze litery ich nazw. Jeden z ptaków ma nazwę składającą się z dwóch wyrazów.

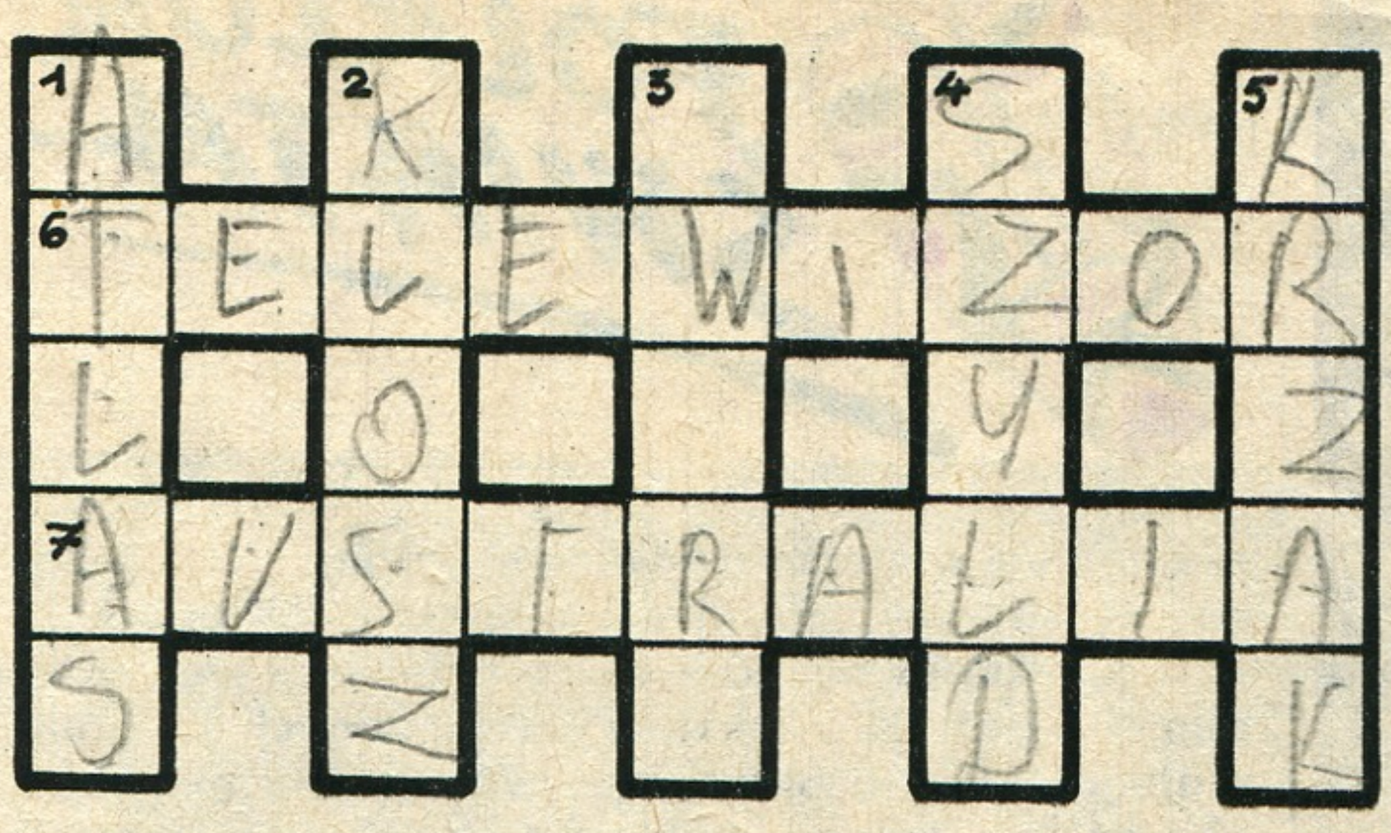

KRZYŻÓWKA

W puste kratki wpiszcie wyrazy o podanych niżej znaczeniach.

Poziomo: 6. ma wizję i fonię, 7. najmniejszy kontynent. Pionowo: 1. książka z mapami, 2. np. Vc, 3. minerał, 4. napis nad sklepem, 5. inaczej krzew.

KWADRAT MAGICZNY

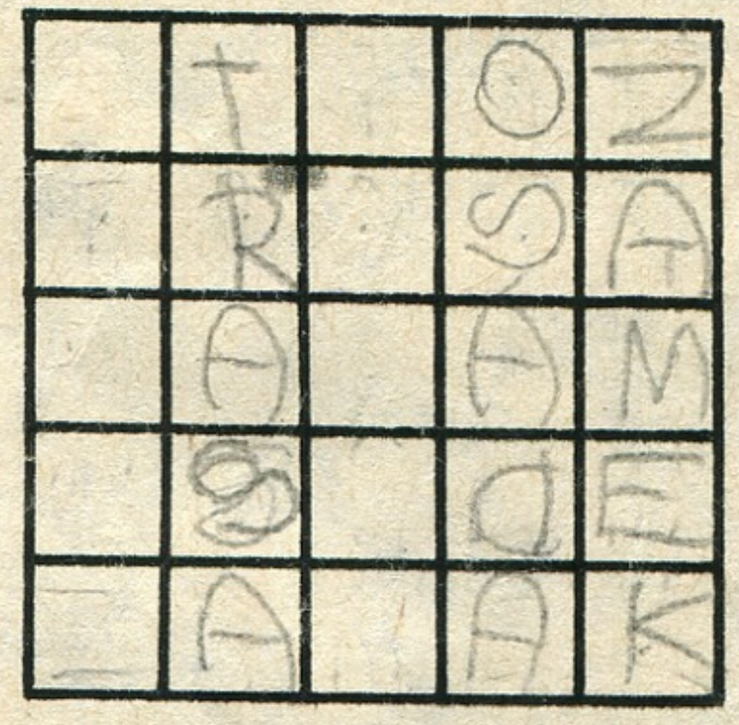

W kratki kwadratu wpiszcie 5 wyrazów pięciolite-rowych o niżej podanych znaczeniach tak, aby je można było czytać jednakowo poziomo i pionowo. Znaczenia wyrazów: 1. sufit, 2. wytyczona droga, 3. imię męskie, 4. mniejsza od wioski, 5. królewski budynek.

Zagadka

Dzielimy go na kwartały.
Chociaż problem to niemały,.
Podzielić się da wygodnie
Na miesiące i tygodnie. rok

ROZWIĄZANIA Z NRÓW 2 i 3

Zagadka zimowa: Zimowy spacer (ślady są następujących zwierząt: zająca, psa, myszy i wrony); Ukryte samochody: 1. star, 2. opel, 3. nysa, 4. fiat, 5. żuk, 6. syrena, 7. skoda; Krzyżówka: Poziomo: 2. buk, 4. kęs, 6. upał, 8. łapa, 9. Afryka. Pionowo: 1. kukułka, 3. kępa, 5. saper, 7. łapy. Zagadka 1: Wkra — kra; Zagadka 2: chłopiec czytający „Płomyczek"; zagadka matematyczna:

$$\begin{array}{r} 18 + 18 = 36 \\ +\,24 + 11 = 35 \\ \hline 42 + 29 = 71 \end{array}$$

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy
„Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 90 zł,
półrocznie — 180 zł,
rocznie — 360 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Władysław Skalny (redaktor techniczny), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:

— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;

— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1985 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 86 × 122 cm, kl. V.

Zam. 1426/85 L-9

Nakład 430 370 egz.

INDEKS 36875

FOLKLOR ŚWIATA

Zgodnie z planem powinien dzisiaj znaleźć się na tej stronicy „Płomyczka" polski folklor, ale... Jak już zapewne zorientowaliście się, wewnątrz numeru jest kilka tekstów poświęconych Bułgarii, dlatego też i na okładce zamieszczamy bułgarski akcent, tzw. zabawy kukierów — bułgarskich przebierańców. Można ich spotkać, na przełomie lutego i marca, na wiejskich drogach, na przedmieściach małych miasteczek, jak odgrywają zabawne sceny ilustrujące pracę przy żniwach, siewie ziarna czy zbieraniu owoców. W zabawach kukierskich uczestniczą tylko młodzi. Nakładają na twarze ogromne — często bardzo niesamowite — maski, połączone z doczepionymi do nich rogami, zębami, uszami zwierząt, czasem piórami ptaków. Każdy kukier ma drewnianą szablę, kij z przywiązanym do niego gałganem i obwieszony jest dzwoneczkami. Można sobie wyobrazić, ile hałasu i gwaru czynią biegając w obejściach gospodarskich i po drogach.

Tadeusz Samborski

CENA 15 ZŁ